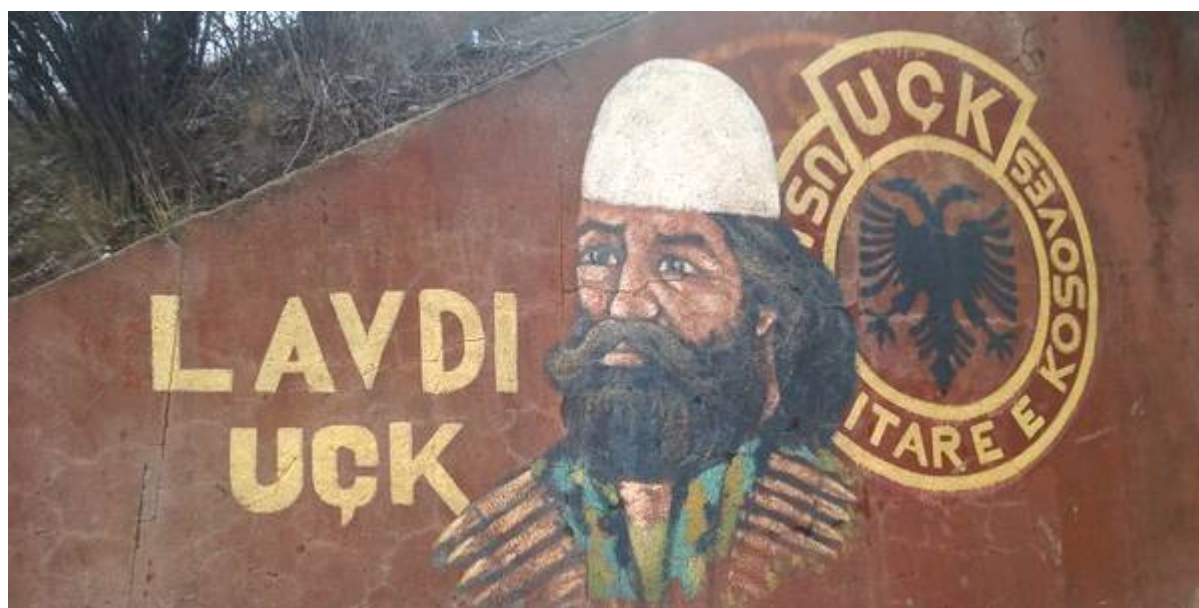


Balkany zalane krwią? Pytanie brzmi: kiedy?

5 stycznia 2022

Jaki będzie jej zasięg? Na to pytanie chyba nikt nie jest w stanie odpowiedzieć. Nieprzepracowana wojna wybuchnie na nowo ze zwielokrotnioną siłą. Wystarczy iskra, by nagromadzone przez lata wzajemne żale i urazy z ogromną mocą ponownie eksplodowały. Tego nie da się już powstrzymać, a cały region ocieknie krwią. Żadna z dotychczasowych wojen na terenie byłej Jugosławii nie została przepracowana. Każda z nich była okrutna, niesprawiedliwa i pozostawiła z jednej strony, żale, poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Z drugiej przekonanie o własnej sile, bezkarności i międzynarodowym wsparciu.



Wyprawa

Nieprzepracowana wojna wybuchnie na nowo ze zwielokrotnioną siłą. Wystarczy iskra, by nagromadzone przez lata wzajemne żale i urazy z ogromną mocą ponownie eksplodowały. Tego nie da się już powstrzymać, a cały region ocieknie krwią. Żadna z dotychczasowych wojen na terenie byłej Jugosławii nie została przepracowana. Każda z nich była okrutna, niesprawiedliwa i

pozostawiła z jednej strony, żale, poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Z drugiej przekonanie o własnej sile, bezkarności i międzynarodowym wsparciu.

Obecnie najgorzej wygląda to w Kosowie i zapewne tam ta się ta pierwsza iskra pojawi. Do tego wniosku doszedłem już podczas drogi powrotnej i analizując zebrany materiał. Pytanie brzmi już nie „czy”, ale „kiedy” wybuchnie? Jaki będzie jej zasięg? I czy rozciągnie się na całą Europę doprowadzając do konfliktu światowych mocarstw? Sytuacja jest napięta, jeśli wybuchną Bałkany, kto wie na kogo świat zrzuci winę, kto się przyłączy, bo kto zrzuci bomby można się domyślić. Ale po kolei...

Gdy dotarła do mnie wiadomość, że lecę do Kosowa, Belgradu i Banja Luki niemal podskoczyłem z radości. Dodatkowo okazało się, że nie będę sam. Wyjazd w tym samym składzie, w jakim równo rok temu wybraliśmy się do Górskiego Karabachu (Arcachu). Zgodnie z planem wyprawa miała się zakończyć konferencją prasową w Pradze, gdzie zamierzaliśmy przedstawić wnioski. Najlepsza ekipa i świetny plan – pomyślałem i jak zawsze z zadowoleniem zacząłem przygotowania do podróży.

To był dziwny rodzaj radości, euforia pomieszana z paraliżującym lękiem. Za swój poprzedni pobyt zapłaciłem srogą cenę. W 1999 roku byłem tam zarówno podczas wojny domowej w samym Kosowie jak i w Serbii gdy spadały na nią bomby – w polskich mediach mówiono o tym „humanitarna interwencja” – jednak obraz jaki zastałem zupełnie do tego nie pasował. Była to pierwsza w historii operacja zbrojna przeprowadzona bez zgody Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Po dwudziestu kilku latach leciałem w miejsce, które odcisnęło piętno i już na zawsze zmieniło moje życie. Po powrocie przez dziesięć lat nie byłem w stanie pracować jako dziennikarz. Wszystkie polskie afery, aferki i spory wydawały mi się banalne i niewarte pisanie. Dopiero po dekadzie i wielu terapiach ponownie sięgnąłem po pióro. Sięgając jednak wcześniej dna.

Opłaciłem to depresją, PTSD, całym pakietem nałogów i utrwalonymi w mózgu migawkami, które do tej pory czasem budzą mnie w nocy. Takie zapamiętane stopklatki z sytuacji i zdarzeń, których byłem świadkiem. Sam już z resztą nie wiem co mózg wyparł ze swojej świadomości, co zostawił, a co zniekształcił. Kto wie, jak się zachowa wracając w najbardziej traumatyczne miejsce, w którym byłem – myślałem pakując walizki.

Ale to już inny temat po części opisany w książkach „Z dna” i „Utwory zebrane. Powrót z dna”. W głowie coraz wyraźniej wracały zdarzenia, obrazy sprzed lat. Kłamstwa mediów, a nawet ich czynny udział – jak choćby próba zamachu na ówczesnego rzecznika prasowego, a obecnego prezydenta Serbii, Aleksandra Vucićia. Zwabiony pod pozorem rozmowy na żywo przez jedną z największych amerykańskich stacji telewizyjnych, jechał już do studia telewizji RTS. Serbowie mają jednak tę cechę południowców, że zazwyczaj się spóźniają i tylko to uratowało mu życie. Zegar w studiu zatrzymał się na godzinie 02.06. Wtedy właśnie śmiertelne pociski zabiły szesnaścioro młodych ludzi, głównie pracowników technicznych.

W 2009 roku, Amnesty International uznało to za zbrodnię wojenną. Nikt jednak nie został z tego rozliczony. Takich zbrodni na obiektach cywilnych, a nawet całych miasteczkach było znacznie więcej, skala niektórych również była większa, ale o nich organizacje międzynarodowe milczą, być może o wielu nie wiedzą, część z nich mamy udokumentowanych na nagraniach, które czekały w zapomnieniu blisko 23 lata, by wreszcie świat mógł je zobaczyć. Próbkę tych zapisów przedstawiliśmy podczas konferencji prasowej w Pradze. Czeska telewizja emitowała je na żywo budząc wśród widzów spore poruszenie.



Etap I – Kosowo

Samolot z przesiadką w Wiedniu prosto do Prisztiny czyli stolicy Kosowa. Z Polski wylecieliśmy we dwójkę z Agnieszką Piwar publikującą w konserwatywnym tygodniku „Myśl Polska” – mimo różnic światopoglądowych doskonale nam się dotychczas współpracowało, być może dlatego, że nigdy nie naciągaliśmy zastanych faktów do swoich poglądów, a często inny punkt widzenia i rozmowa pozwalały spojrzeć z różnych perspektyw. Na miejscu natomiast mieliśmy się spotkać z poglądowo mi bliskim, czeskim reporterem i publicystą, obecnie redaktorem naczelnym wydawanego w Pradze lewicowego dziennika „Haló Noviny” – Romanem Blaško.

Z lotniska w Prisztinie odebrał nas Zoran, były dyrektor kompleksu hotelowo rekreacyjnego, a obecnie zastępca dyrektora ruin, które po tych ośrodkach zostały. Nie zatrzymując się pojechaliśmy czterdzieści kilometrów prosto do serbskiej enklawy Štrpce, gdzie po kilku godzinach dołączył do nas Roman. Ponieważ był już późny wieczór, a od rana planowaliśmy objazd oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów miejscowości, po wstępnej wymianie uprzejmości poszliśmy do swoich pokoi. Hotel wydawał się dosyć siermiężny, jak się okazało rano takie było całe to miasteczko. Zupełnie inne od mijanych po drodze,

kolorowych i nowoczesnych miast. Serbskie sioła, jakby zatrzymane w czasie miejsca skupiające etnicznych Serbów, których jest obecnie w Kosowie lekko ponad pięć procent.



Prizren

Przepiękne położone w górach miasto, przypominało mieszankę zakopiańskich Krupówek z tureckim Stambułem, Zoran uprzedził by publicznie nie odzywać się w żadnym ze słowiańskich języków – tutaj mówi się po albańsku lub turecku – powiedział gdy poprosiliśmy go żeby się zatrzymał. Prizren to drugie co do wielkości miasto w Kosowie (ponad dwieście tysięcy mieszkańców). Przed wojną mieszkało tam 10 tysięcy Serbów, teraz zaledwie dwudziestu trzech. W centrum można było odnieść wrażenie, że to międzynarodowe centrum turystyczne, większość budowli to meczety, lub cerkwie z dobudowanymi minaretami. Wszystkie niemal identyczne, jakby skopiowane ze słynnej stambulskiej świątyni Hagia Sophia. Historia ich również jest zbliżona, tylko w znacznie krótszym czasie. Hagia Sophia powstała pierwotnie była wzorem kościoła bizantyjskiego i od katedry patriarszej, po zajęciu miasta przez Imperium Osmańskie dobudowano minarety i stała się meczetem. Od 1834 roku, gdy już uformowało się świeckie państwo tureckie powstało w niej muzeum, by niedawno w 2020 roku decyzją

prezydenta Erdogana, ponownie została czynnym meczetem. Tutaj podobnie przerobiono kilka świątyń.

W centrum Prizren została jedna cerkiew i chociaż miasteczko wydawało się bardzo spokojne, to jednak jej mur był otoczony drutem kolczastym. Usiedliśmy w kawiarni, Roman zaczął beztrąsko chodzić po okolicy namawiając przechodniów na rozmowę. Od ulicznego sprzedawcy pieczonych kasztanów próbował kupić sobie porcję płacąc mu serbskimi dinarami, w oczach Zorana pojawiło się przerażenie. Szybko dopiliśmy kawę i pojechaliśmy dalej, do oddalonej o niespełna czterdzieści kilometrów serbskiej osady Velika Hoča.

Różnica była ogromna, zderzenie cywilizacyjne zamożnego Prizren i biednej Velika Hočy. To jedno z najstarszych siedlisk w regionie, ta niewielka osada przed wojną domową liczyła półtora tysiąca mieszkańców i była perełką turystyczną. Teraz zostało ich tylko pięciuset.



Żyją jak w getcie, kultywują jednak swoje tradycje, utrzymując się głównie z pracy w monasterskich winnicach, upraw oraz produkcji „Monastyрки” – rakii z drewnianym krzyżem w butelce. Jest też jedno muzeum o nazwie „Serbska chata” , byliśmy chyba jedynymi tam gośćmi, mimo to oprowadzono nas po zadbanym wnętrzu pokazując eksponaty lokalnej kultury ludowej. Pod

koniec mieszkańcy zaprowadzili nas pod pomnik ofiar czystek etnicznych w wyniku których UČK zamordowało sześćdziesięciu trzech mieszkańców osady.

Kolejnego dnia ponownie objazd serbskich osad, każda oddalona o kilkadziesiąt kilometrów, jechaliśmy patrząc przez okna samochodu na mijane, bogate miasta i wioski. Nasz przewodnik niechętnie się tam zatrzymywał. Wyjątkiem było jedno miasteczko. Zamieszkałe przez bośniackich muzułmanów, którzy podczas wojny udzielali schronienia Serbom. To był jedyny raz, gdy mieszkańcy Kosowa których tam odwiedziliśmy – właśnie ci Bośniacy – wrócili do historii sprzed dwudziestu trzech lat i zaczęli opowiadać o wojnie. To był jedyny wyjątek.

Od początku uderzyło mnie to, że nikt nie chciał rozmawiać z nami o samym konflikcie. Owszem, obejrzelibyśmy nagrania, niektórym zaskliły się oczy, innym popłynęły łzy. Podobnie wyglądała sytuacja w Bośni i Hercegowinie, gdy zapytaliśmy jednego z rozmówców czy utrzymuje kontakty z Bośniakami, powiedział że nawet ma przyjaciół. Rozmawiają o wszystkim, ale tematu wojny nie poruszają. To jest temat tabu.

Kolejne dni, to kolejne większe lub mniejsze serbskie sioła, na pierwszy rzut oka widać było jednak różnicę w poziomie życia – jeszcze nie dostrzegłem niewidocznych dla laika oznaczeń, jakie mają samochody Serbów – było to powodem wrześniowych zamieszek, ale o tym napiszę niżej.

Domy, sklepy, a nawet stacje benzynowe były inne dla albańskich mieszkańców regionu i wyrzuconych poza nawias, żyjących w tych ubogich gettach Serbów.

Ostatnim miastem była Gračaniča, tam spotkaliśmy się z lokalnymi dziennikarzami zrzeszonymi w serbskim stowarzyszeniu. Ponieważ trafiliśmy akurat na ich zebranie, mieliśmy okazję usłyszeć dyskusję na temat bierności lokalnych mediów w stosunku do represji nakładanych na serbską mniejszość przez rząd w Prisztinie.



Misja

Pojechaliśmy tam z dwóch powodów. Pierwszy to niepokojąca sytuacja w regionie – o czym alarmowali już od jakiegoś czasu mieszkańcy, którzy nas tam zaprosili. Gdy oczy całej Europy zwrócone są na jej wschodnie rubieże, na południu ponownie zaczęły się niepokoje. Musieliśmy znaleźć odpowiedź czy mogą przerodzić się w konflikt światowych mocarstw. Mimo tego, że nadzór nad prowincją wciąż sprawuje KFOR, czyli wojskowe kontyngenty NATO, pomagają im jednostki policji, wcześniej wysyłane wcześniej przez UNMIK – OBWE, a obecnie w ramach misji Unii Europejskiej w Zakresie Praworządności – EULEX Kosowo.

Mimo to powołano specjalne jednostki kosowskiej policji, składającej się z etnicznych Albańczyków i szkolone jak elitarne jednostki wojskowe świata – ROSU. 21 września 2021 roku rząd w Prisztinie wprowadził zakaz poruszania się po terytorium Kosowa samochodów na serbskich tablicach rejestracyjnych. To był punkt zapalny, większość mieszkających tam Serbów swoje auta zarejestrowała właśnie w Serbii. Wprowadzono dla nich tymczasowe tablice rejestracyjne ważne przez sześćdziesiąt dni, które właściciel takiego pojazdu mógł sobie wykupić za pięć Euro.

Po fali protestów zakończyło się to tym, że wjeżdżając do Kosowa, trzeba zakleić wszystkie serbskie oznaczenia, barwy, skróty – to wszystko, co na swoich numerach mają samochody każdego państwa. Przy punktach granicznych sprzedają nawet specjalne, dopasowane na wymiar arkusze samoprzylepne, i dopiero może wjechać. Nawet karetka musi się stosować do tych przepisów. Mogą zostać jedynie same numery.



Kilka dni przed naszym przyjazdem w okolicy jednej z serbskich osad ostrzelano autobus ze studentami. Zginęły trzy osoby. Nikt z naszych rozmówców nie chciał o tym rozmawiać. W końcu powiedziano nam, że były to jakieś mafijne porachunki, co nie do końca zgadzało się z tym czego już wcześniej zdążyłem się dowiedzieć. Albo duma im nie pozwala uważać się nad losem, albo są tak zastraszeni, alternatywnym wytłumaczeniem jest to, że zwyczajnie się tego wstydzą. Udają lub nawet wierzą, że nic się nie dzieje i wypierają z głowy wszelkie niedogodności, prowokacje czy incydenty, których co chwila doświadczają – pomyślałem. O represjach więcej można dowiedzieć się obecnie z zagranicznej, nawet polskiej prasy, niż bezpośrednio od samych mieszkańców. Udało mi się porozmawiać o tym przez chwilę z jednym mieszkańcem wioski Velika Hoča. W przypływie szczerości opowiedział o życiu w ciągłym napięciu, lęku przed wyjazdem do Prizren, nawet w sprawach administracyjnych, były to jednak bardzo ogólne zwierzenia, ale jedyne jakie tam usłyszałem.

Drugim powodem naszego wyjazdu, był planowany od jakiegoś już czasu projekt, pod roboczym tytułem „Miłosierny Anioł”. Przy zaangażowaniu dziennikarzy i redakcji z całego świata, głównie z państw członkowskich NATO, pod egidą czeskiego dziennika Haló Noviny, stopniowo angażujemy kolejne organizacje, stowarzyszenia, redakcje w promocję i pomoc przy produkcji filmu dokumentalnego, który obnaży zbrodnie wojenne Paktu Północnoatlantyckiego oraz skutki tych humanitarnych interwencji. Chcemy też odnaleźć i przeprowadzić rozmowy z ludźmi zarejestrowanymi na tych dawnych, zagubionych, a potem cudem odzyskanych taśmach i oddać hołd operatorowi, który zginął podczas ich nagrywania. O dziwnej i nieprawdopodobnej historii tych filmów jeszcze wspomnę.

Rzadko kiedy wojna jest jednoznaczna i czarno biała. Zwłaszcza wojna domowa. Tutaj jednak obarczono winą tylko jedną stronę, puszczając w niepamięć, usprawiedliwiając lub zwyczajnie ukrywając zbrodnie przeciwników – od tych popełnionych przez chorwackich watażków odwołujących się do faszystowskiej spuścizny Ustaszy, a dowodzonych przez późniejszego prezydenta Republiki Chorwacji Franio Tudmana, który usiłował anektować również Bośnię i Hercegowinę. Gdy napięcie zaczynało już spadać Franio Tudmanem podjął negocjacje ze Slobodanem Miloševiciem. Doszło nawet do pokojowej współpracy. Jednak pod naciskiem USA nagle zerwał te rozmowy, podpisując jednocześnie porozumienie z przywódcą bośniackich muzułmanów Aliją Izetbegoviciem, co doprowadziło do kolejnego konfliktu w Bośni i Hercegowinie. Aż przez czystki jakich dopuszczała się UČK – czyli Wyzwoleńcza Armia Kosowa – która jeszcze do połowy 1998 roku zajmowała wysoką pozycję na światowej liście organizacji terrorystycznych handlujących bronią, narkotykami i ludźmi. Pod pozorem walki wyzwolenczej mordowali już nie tylko kosowskich Serbów, ale również mieszkających tam muzułmańskich Bośniaków i etnicznych Albańczyków. Z dnia na dzień ta sama UČK z organizacji terrorystycznej stała się patriotyczną armią broniącą społeczność albańską przed jej serbskimi sąsiadami. Trudo to wszystko zrozumieć – przytoczyłem jedynie w skrócie

historię, by naświetlić tło tego co zobaczyliśmy już na miejscu.

Miłosierny Anioł

Drugi powód wyszedł całkiem przypadkiem i w tej chwili stał się najważniejszym projektem. Polega on na odkłamaniu historii tamtego konfliktu. Gdy wieść o tym, że posiadam jeszcze „surowe” nagrania z miejsc, w których w 1999 roku nie było żadnych akredytowanych dziennikarzy, rozeszła się wśród znajomych reporterów, postanowiliśmy połączyć siły i wspólnie z redakcjami, stowarzyszeniami i organizacjami z całego świata – zaczynając od czeskiego dziennika Haló Noviny i przy wsparciu jednego z senatorów Jaroslava Doubravy, zrealizować film dokumentalny pod roboczą nazwą „Miłosierny Anioł” – tak bowiem pierwotnie nazwano tę interwencję zanim zreflektowano się i zmieniono nazwę na Allied Force – Siły Sprzymierzone, a po zdewastowaniu kraju i wymordowaniu kilku tysięcy ludzi na Allied Harbour – Siły Ochronne.



Odnalezione, zapomniane nagrania

Mając niewiele ponad 27 lat, pełen entuzjazmu, nie zdawałem sobie jednak sprawy z zagrożeń. Kompletnie nieprzygotowany,

beztroski i zachłyśnięty adrenaliną młody reporter, niepotrafiący oddzielić pracy zawodowej od prywatnego życia – co w Polsce miało swoje plusy. Pojechałem pełny wiary w uczciwość i rzetelność dziennikarską. Powrót do kraju był wstrząsem, gdy widziałem lub czytałem relacje, którymi każdego dnia media zalewały kraj, robiłem wszystko, by wykrzyczeć, że to bzdura, że jest zupełnie inaczej. Przywiozłem wtedy ze sobą pięć kaset Beta Cam – zanim pojawił się zapis cyfrowy – był to międzynarodowy standard telewizyjny.

Pewnego dnia dał mi te surowe nagrania i powiedział „Piotr, pokaż światu co nam zrobili”, kilka dni później zginął. Byłem pewien, że wszystkie stacje telewizyjne rzucają się łapczywie na ten unikalny materiał. Przecież tych relacji jeszcze nikt jeszcze nie widział, żadna stacja nie emitowała, a jeśli pojawiał się jakiś opis, to zazwyczaj ginął w zalewie fałszywych przekazów. Internet w Europie wschodniej dopiero zaczynał funkcjonować, nie był powszechny i tak łatwo dostępny jak teraz. Facebook nie istniał, telefony nie miały aparatów fotograficznych, bo zwyczajnie zapis cyfrowy dopiero raczkował. Tylko korespondenci najbogatszych agencji mieli aparaty fotograficzne ze specjalnymi matrycami, robiły one zdjęcia zarówno analogowe, a dzięki matrycy cyfrowe. Coś takiego w telefonie wydawało się nierealnym.

W większości bombardowanych miejsc nie było żadnych zachodnich korespondentów. Większość dziennikarzy mieszkała albo w luksusowych hotelach dla dyplomatów, które były oddalone od atakowanych obiektów, inni w bazach KFOR – czyli wojsk NATO w Kosowie i oglądali jedynie te miejsca, w które zawiozło ich wojsko. Jedynym źródłem informacji były wtedy media. Polska jako świeży członek NATO, chcąc przypodobać się nowemu sojusznikowi była jednym z bardziej aktywnych agresorów. Podobną rolę spełniały media. Mówiło się o masowych grobach, ludobójstwie i czystkach etnicznych. Opowiadano o bohaterach UČK – Wyzwoleńcza Armia Kosowa, organizacji terrorystycznej o której wspominałem już wyżej.

W Polsce chodziłem z tymi nagraniami i zdjęciami od redakcji do redakcji, żadna stacja telewizyjna nie była jednak tym zainteresowana. Do tej pory nikt nie sprostował tamtego przekazu i wciąż panuje przekonanie o słuszności nalotów i haniebnej roli Serbów. Jedynie w opracowaniach naukowych można znaleźć informacje, że przez te wszystkie powojenne już lata nie znaleziono żadnych dowodów ludobójstwa, nie odkryto ani jednej zbiorowej mogiły, a większość relacji nagrywano w bezpiecznej Czarnogórze – czego byłem świadkiem.

Ta wojna, a raczej te wojny – bo dotyczy to wszystkich konfliktów w byłej Jugosławii nie tylko nie została przepracowana przez mieszkańców, ale też nie została należycie odkłamana przez kraje NATO.

Na zakończenie tej części reportażu przytoczę historię z Kosowskiej Mitrowicy z wiosny 1999 roku. Siedziałem na murku tuż przy rzece Ibar – było to najlepsze miejsce obserwacyjne. Rzeka dzieliła miasto na część serbską i albańską. Jeśli coś zaczynało się dziać, to zawsze tam był początek, więc uważnie wpatrywałem się w dwa brzegi. Na dachach budynków pełno rozłokowanych snajperów, początkowo przechodziły mnie ciarki „niech się komuś omsknie palec, albo uzna mnie za potencjalne zagrożenie” – myślałem. Było to niezbyt miłe i dziwne uczucie, ale z czasem przywykłem i przestałem zwracać na to uwagę.

W pewnym momencie podeszła do mnie grupa żołnierzy. W pełnym rynsztunku. Lufy swoich karabinów M-16 skierowali wprost w moją stronę i wtedy zauważyłem jak spomiędzy nich wychyla się nieśmiała ręka z mikrofonem, a tuż nad nią obiektyw kamery i nieśmiała dziennikarka zadała mi pytanie: „jak mi się tu żyje jako Serbowi?”. Zamurowało mnie i naprawdę nie miałem pojęcia co odpowiedzieć, palnąłem coś głupiego.

Ta przytoczona wyżej historia jest świetnym przykładem w jaki sposób dziennikarze zdobywali swoje relacje i materiały. Prawda jednak powoli wychodzi na jaw, pięć krajów Unii Europejskiej nie uznało niepodległości Kosowa, Hiszpania,

Grecja, Cypr, Rumunia i Słowacja. Na świecie coraz więcej krajów wycofuje się z poprzedniej deklaracji poparcia. Poparcia, którego nigdy nie udzieliło samo ONZ.

Reportaż jest bardzo osobisty i wyjątkowo emocjonalny, ponieważ tematu jeszcze nie wyczerpałem, wróć do tego pisząc o Republice Serbskiej w Bośni i Hercegowinie, Republice Serbskiej Krajiny w Chorwacji no i wreszcie samej Serbii, Belgradu. Wróć z opicem jakie wrażenie miasto wywarło na mnie po latach, w innych warunkach, napiszę też o wspomnieniach, które – mimo, że przepracowane – jednak powróciły.



Postscriptum

Relację tę – zaraz po powrocie i spisaniu – wysłałem do jednej z lewicowych redakcji. Jestem dziennikarzem jeszcze starej daty, kiedyś gdy się zapewniało o publikacji, to ona faktycznie była. Nikt nikogo nie olewał, nie robił w konia, nie zbywał. Czekałem więc, chociaż mimo zapewnień i obietnic reportaż niestety wciąż nie został opublikowany, a mam coraz więcej nowych materiałów.

Nie mam zamiaru i nie mogę już dłużej czekać czy wysyłać do innych, żeby znowu czekać na decyzję. Przecież w pierwszej zapadła, pozytywna. Mogłem oczywiście zrobić tak od razu –

hurtowo do wielu. Trzymałem się jednak starej zasady, że przekazuję materiały jednej tylko redakcji, czekając na akceptację lub odrzucenie. Gdybym wysłał do wielu, już dawno tekst gdzieś by się ukazał, nie sądziłem, że teraz się ludzi zwyczajnie olewa.

Gdy otrzymałem informację, że zaraz po świętach reportaż będzie opublikowany – cierpliwie czekałem. Kolejne informacje jakie do mnie dochodziły to: że zaplanowali na „jutro” i już na pewno zamieszczą następnego dnia. Wierzyłem, w końcu duży, lewicowy portal nie miałby powodu okłamywać. Teraz nie mam już czasu na czekanie, nie wysyłam nigdzie, tylko publikuję tu, gdzie wiem, że będzie od razu.

Autorstwo tekstu i zdjęć: Piotr Jastrzębski

Źródło: Salon24.pl